

1. OGRÓD GENOWEFY

Było jej strasznie zimno, a potwornie wczesna pora mroźnego poranka przenikała ją na wskroś, gdy krok po kroku przemierzała wciąż jeszcze śpiące ulice obcego miasta. Bruk nie dawał stabilnego oparcia dla jej zmarzniętych stóp, więc pokonując w mozole kolejne centymetry drogi w swoich wytartych trzewikach, raz po raz ślizgała się po cienkiej warstewce lodu. Opatulona włóczkową chustą, którą dostała na drogę od mamy, trzęsa się z zimna. Uśmiechnięta i zachwycona widokiem pięknego, jaśniejącego stopniowo, zimowego nieba, dziękowała Bogu za jego piękny podarunek. Bo czyż może być coś piękniejszego niż feeria barw błękitnych, białych i różowych, które mieszając się ze sobą, tworzą niepowtarzalnie unikatowy obraz, którego autorem może być jedynie sam Pan Wszechmogący?

Trzymając pod pachą kilka rzeczy osobistych zawiniętych w gazetę, rozglądała się dookoła poszukiwaniu wskazanego przez jej sąsiadkę adresu. Ponoć miała się tam dla niej znaleźć jakaś praca przy kwiatkach. Uwielbiała wszelkiego rodzaju rośliny, więc miała nadzieję na to, że tym razem uda jej się znaleźć zajęcie dobrze płatne i przyjemne. Wysokie budynki kamienic stopniowo zamieniały się w coraz niższe budowle, stojące już nie tak zwarcie lecz pojedynczo. W końcu przed jej oczyma zaczęły ukazywać się prywatne wille otoczone ogrodami. Liczyła numerki kilkukondygnacyjnych domów znajdujących się na ulicy Wiejskiej i podążała w coraz dalsze zakamarki nowoodkrytego miejsca. Nagle zatrzymała się.

– To tutaj! – westchnęła, a z jej ust dobiegła się para. Ujrzała jedynie trzymetrowy szpaler starannie przystrzyżonych cyprysów, a między nimi niewielką furteczkę, na której widniał numer posesji. Zajrzała przez metalowe pręty w głąb tajemnie osłoniętego przed światem ogrodu. Dom wyglądał na wciąż pogrążony we śnie. Mimo to nacisnęła dziwacznej kształtu klamkę i weszła na podwórko. Niewielka willa wprowadziła ją w zachwyt swoim fantazyjnym wyglądem. Zupełnie nie przypominała wiejskich chat, które oglądała na co dzień w miejscu skąd przybywała. Parter, wyposażony w okna pokaźnej wielkości, nakryty był niskim poddaszem, które przeznaczono na pomieszczenia

mieszkalne. Trzy niewielkie okna wystające dziwacznie z powierzchni dachu, symetria prostej bryły i ganek, na który wchodziło się po zaokrąglonych schodkach. Dom posiadał podpiwniczenie, gdzie, jak się domyślała, musiały mieścić się pomieszczenia gospodarcze i mieszkania dla służby. Krocząc ostrożnie po placyku wybrukowanym białym kamieniem, powoli zbliżyła się do niewysokich schodów, po czym weszła na ganeczek otoczony czterema kuliście przyszyżonymi bukszpanami, zgrabnie usytuowanymi w kamiennych donicach. Pochwyciła zmarznątą poślaczaną kołatkę z zamiarem obwieszczenia swojego przybycia gospodarzom. Jednak dalsze jej wysiłki okazały się być daremne – kołatka przymarzła do drzwi!

– Kogo panienka szuka?

Podskoczyła przestraszona i obejrzała się za siebie, aby sprawdzić kto był właścicielem tego niskiego, buczonego głosu. Ujrzała osiemnastoletniego chłopaka średniego wzrostu, równie średniej urody, ubranego w roboczą odzież, trochę przy kości. Trzymał w rękach pokaźną stertę porąbanych szczapek drewna.

– Mam tutaj pracować... w ogrodzie znaczy się – wytłumaczyła i uśmiechnęła się do nieznanego.

– Chyba raczej w szklarni. O tej porze w ogrodzie wszystko śpi, panienko! – zaśmiał się.

– Tak! Hi, hi!

– Pani domu też jeszcze śpi, więc będzie panienka musiała poczekać na nią w pomieszczeniach dla służby, tam za domem. – Wskazał głową miejsce położone gdzieś za willą. – Coś mówili, że ma się zjawić jakaś panienka do szklarni, więc komórka jest już przygotowana.

– Komórka? – „Czyżbym miała spać w szopie?": przestraszyła się.

– To takie pomieszczenie pod budynkiem dla służby. Jest tam trochę ciemno, ale można w piecyku zapalić i będzie całkiem przyjemnie. Proszę ze mną! – Bez sentymentu rzucił drewno na ziemię i machnął na nią ręką jak na starego kumpla. Nie zaczekawszy na jej reakcję, poszedł za dom, a ona czym prędzej pobiegła za nim, w obawie, że zgubi się w tym nowym miejscu.

– Och! – wyrwało się z jej ust, gdy zobaczyła ogród swojej pani pogrążony w zimowym letargu. – Jak pięknie... – westchnęła,

zapominając na chwilę o służącym, który zatrzymał się przy niewielkim, ceglanym domku stojącym w odległości kilku metrów od willi. Budowla okazała się o wiele dłuższa, niż sądziła.

Dopiero z tego miejsca była w stanie stwierdzić, że dom państwa ma kształt podkowiasty, a między prawym i lewym skrzydłem domu usytuowana jest kilkukondygnacyjna, kielichowo rzeźbiona fontanna kamienna. Pomyślała, że w lecie woda musi spływać z niej kaskadowo wprost do dolnego poziomu w kształcie kolistym, gdzie zapewne rosną lilie wodne. Dookoła fontanny rozpościerały się równo ułożone klomby przysypane grubą, kilkucentymetrową warstwą śniegu, tworzące tajemnicze, malutkie wzniesienia kształtem przypominające koła.

Ogród był spory, co niezmiernie ją ucieszyło. Harmonijnie ustawione niskie drzewa i krzewy przyprószone bielą, która skrzyła się pod wpływem promieni wschodzącego właśnie słońca, migotały kolorowymi iskierkami. W głębi ogrodu, za niewielkim żywopłotem kryła się drewniana altanka. Zaś na samym jego skraju stała duża szklarnia, gdzie przez małe szybki prześwitywały czerwone, białe oraz żółte plamki. To musiały być kwiaty, którymi miała się zajmować. „Och Boże, żeby to były róże.”: westchnęła jej dusza z nabożnym pragnieniem. „Nie ma bardziej niebiańskich kwiatów niż róże.”

– To tutaj! – krzyknął chłopak, budząc dziewczynę z zachwyty. Czym prędzej zjawiła się przy nim, a ten otworzył jej drzwi prowadzące do nowego lokum.

– Tam na dole? – zapytała przestraszona. Miała zejść z tego niebiańskiego ogrodu wprost do ciemnej, zimnej nory?

– Tak... a tak w ogóle to Janek jestem! – podał jej rękę, po czym mocno uściskał jej zimną dłoń, potrząsając nią energicznie.

– Jadzia... Malinowska – rzekła, nie odrywając wzroku od betonowych schodów prowadzących do ciemności.

– Później przyniosę ci lampkę naftową. Nie ma tutaj prądu – wyjaśnił.

– Drzwi na lewo są twoje. W tych na prawo mieszka Justysia.

– Justysia?

– Służąca. Jest niewiele starsza od ciebie... O ile masz tyle lat, na ile wyglądasz. – Przyjrzał się jej wychudzonej posturze i bladej twarzyczce.

– A na ile wyglądam?

– Trzydzieście.

– Dodaj do tego jeszcze dwanaście i będziesz wiedział, ile mam lat naprawdę – uśmiechnęła się niepewnie, a później ostrożnie podążyła schodami na dół.

Janek poczuł się oszukany tą niejasną odpowiedzią.

– Ej! To niesprawiedliwe! Nie umiem rachować!

– Dwadzieścia pięć! – odrzyknęła z ciemnego korytarza.

– Aha! A Justysia piętnaście! – odpowiedział jej, po czym zamknął drzwi i odciął całkowicie dopływ światła w korytarzu na dole.

Poszukała po omacku klamki od drewnianych drzwi. Nacisnęła ją po chwili wahania, po czym weszła do środka ciasnego pomieszczenia oświetlonego małym okienkiem usytuowanym tuż pod sufitem. Łóżko, sklecone najwidoczniej prowizorycznie tuż przed jej przyjazdem, zaskrzybiało niebezpiecznie pod jej czterdziestodziwiewięciokilogramowym ciałkiem, gdy z ulgą usiadła na szarym kocu zaścielającym mebel. Spojrzała na żelazny piecyk, stojący tuż obok drzwi i stoliczek po drugiej ich stronie, na którym stała metalowa miska. „A gdzie wychodek?” – przyjemna potrzeba nie dała jej wysiedzieć w miejscu, więc nie czekała na pojawienie się pani tego cudownego ogrodu, w którym miała pracować, tylko wyszła na zewnątrz, aby poszukać tego ustronnego miejsca.

Wychodek stał tuż za domkiem. Załatwiła więc swoje potrzeby i zaciekawiona migocącymi w oddali, kolorowymi plamkami wyzierającymi na nią zza zaszronionych szyb, z radością ruszyła odśnieżonym chodniczkiem w kierunku szklarni. Mroźne powietrze i zapach sosenek – rozrzuconych pojedynczo to tu, to tam – przypomniał jej o świętach Bożego Narodzenia... Odrzuciła na bok tęsknotę za matką i przyjrzała się szklano żelaznej konstrukcji. Mierzyła sześć metrów długości i trzy szerokości. Wchodziło się do niej przez szklane drzwi obramowane kutą, żelazną ramą. Całość sprawiała wrażenie przezroczystej, kryształowej klatki, chroniącej kwiaty przed światem zewnętrznym. Drżącą z przejęcia ręką nacisnęła na klamkę, wstrzymała oddech i weszła do środka ciepłego pomieszczenia. W obawie o bezpieczeństwo tak cennych roślin zamknęła pośpiesznie drzwi, po czym zaciągnęła się zapachem kwiatów.

– Wspaniałe! – powiedziała zachwycona i niemal na paluszkach zbliżyła się do doniczek i grządek, gdzie rosły najróżniejszych kolorów róże. – Dzięki ci Boże! Tak chciałam, żeby to były róże!

Niczym w transie podchodziła do każdej z nich, wahała i dotykała ich gładkich, kruchych liści oraz aksamitnych różnobarwnych płateczków.

– Dzień dobry Czerwona Pani! Och! jaka jesteś śliczna Biała Królowo! A pani ma takie piękne różowe płateczki... – mówiła do kwiatów. Tracąc poczucie czasu podczas uroczystego przywitania ze swoimi podopiecznymi, nie zwróciła uwagi na upływ godzin.

– Och! jakie jesteście piękne kwiatuszki!

Nagle drzwi szklarni otworzyły się z impetem! Przestraszona dziewczyna odwróciła się i zobaczyła wysoką postać ubraną w eleganckie, brązowe futro i kapelusz, dzierżącą w ręce starczą laskę uniesioną ku górze.

– Co ty tutaj robisz?! – warknęła na nią oburzona pani Genowefa Drozd.

– Ja... ja tutaj przyszedłam do pracy p-proszę pani – wyjąkała. – Nazywam się Jadwiga Malinowska.

Dygnęła pospiesznie, po czym wlepiła oczekujący i przerażony wzrok w surową twarz kobiety po sześćdziesiątce. Nadal nie opuszczała laski, którą dzierżyła w ręku. Najwidoczniej przyszykowała ją sobie do obrony swojego kwiatowego dobytku.

– Przyszedłam tutaj do pracy, proszę pani.

Na dźwięk słów dziewczyny, która wyglądała jej jeszcze na dziecko, kobieta odetchnęła z ulgą.

– Aleś mnie nastraszyła dziewczyno. – Złożyła broń, zmieniając ją na powrót w swoją osobistą podporę. Odetchnęła kilka razy.

– Proszę pani, bo róże zmarzną! – przestraszyła się na widok drzwi do szklarni, które nadal stały otworem.

– Och! – Pani Drozd aż podskoczyła z obawy o swoje unikatowe gatunki. Prędko zamknęła drzwi.

– Bardzo dobrze, że w końcu znalazłam kogoś, kto pomoże mi właściwie ochronić te cuda natury! – Choć jej słowa były miłe, jej twarz nie drgnęła nawet na ułamek centymetra.

- Bardzo chętnie w tym pomogę! – Jadzia dygnęła usługnie, zachowując powagę.
- Idealnie! – Wyprostowała się, a w jej oczach zabłyśły nibyogniki radości.

– Ta róża potrzebuje częstego podlewania! – przykazywała Pani Drozd. Całkowicie zapomniała o podstawowych potrzebach nowej służącej. Mijała już trzynasta, a Jadzia nie napiła się i nie zjadła ani grama od wczorajszego dnia. Rano, gdy wychodziła z domu, nie miała sumienia, żeby zjadać ostatnie kromki czerstwego chleba. Mama na pewno chciała je zjeść na śniadanie. – Słuchasz mnie?!

– Tak, proszę pani – powiedziała niemrawo. Poczuła, jak żołądek zwija się jej z głodu.

Stuk! Stuk!

– Proszę pani, obiad podano! – powiedziała dziewczyna, którą musiała być Justysia. Drobną blondyneczką o zaróżowionych policzkach ukłoniła z gracją i zaczęła na rozkazy. Miała na sobie fartuszek roboczy i chustę oraz czepeczek z białej bawełny.

– Justyno! Nie wychodź na mróz taka wypierzona! Bo znowu będziesz chora! Zaraz idę! – machnęła ręką na dziewczynę, po czym wróciła do instruowania Jadzi.

Justysia spojrzała na nowoprzybyłą ze współczuciem i opuściła pomieszczenie.

– Ta biała musi dostawać raz na dwa tygodnie nawóz. Muszę później podać ci dokładną recepturę mikstury... Znasz się trochę na ziołach, jak słyszałam?

– Tak, proszę pani.

– Och! Jestem ogromnie głodna! Później dokończymy rozmowę!

Jadzia z ulgą otworzyła swojej pracodawczyni drzwi, a później każda z nich udała się w swoją stronę.

Gdy położyła się z ulgą na twarde łoże, nie myślała już o jedzeniu. Jej myśli zaprzątnęła inna sprawa, która leżała jej bardzo na sercu. Mama. „Czy miała co jeść na obiad? Czy ktoś pomógł jej zapalić w piecu, w chacie?” Pan Hubert obiecał zajrzeć do mamy, gdy jej nie

będzie. Pani Florentyna miała dać mamie prace ręczne – odzież do cerowania, aby mogła zarobić parę groszy na życie. Oby dotrzymała obietnicy. Od dziecka były same – ona i mama. Zawsze musiały liczyć tylko na siebie – w chłódzie, upale, głodzie i chorobie.

Stuk! Stuk!

– Proszę! – Usiadła na łóżku.

– Dzień dobry! – Zza drzwi wyjrzała mała główka Justysi. – Czy zje z nami panienka obiad?

– Oj! Zupełnie nie wiem, czy mogę? – odparła zakłopotana.

– Czekamy na panienkę w domu, w jadalni dla służby.

– Och! Nie wiedziałam, że państwo na mnie czekają – westchnęła zawstydzona, po czym rzekła weselej: – Nazywam się Jadwiga, możesz mówić mi Jadzia! – Radośnie uścisnęła kościstą dłoń chudziątka, które było jeszcze bardziej wątłe niż ona sama.

– Justysia! – Delikatny uśmiech zamajaczył na jej usteczkach, choć oczy pozostały smutne.

W jadalni dla służby, mieszczącej się w centrum kuchni, było trochę więcej miejsca niż w jej ciasnym pokoiku. Poznała jeszcze jedną służącą: Karolinę – panią w wieku czterdziestu lat, oraz lokaja Sławka, który miał nie więcej niż pięćdziesiąt wiosen. Wszyscy byli jacyś tacy szarzy, smutni i chudzi... Jak bardzo kontrastowała w jej myślach postura pani Drozd z sylwetkami tych zabiedzonych osób. „Czyż wszyscy tutaj chodzą głodni?!” – przestraszyła się. Ciepły posiłek składał się z kaszy, warzyw i kawałeczka mięsa. Wielkość porcji pozostawiała wiele do życzenia. Może dla niej i dla Justysi ta ilość mogłaby okazać się wystarczająca, ale Karolina i Sławek byli dorosłymi ludźmi – potrzebowali bardziej wartościowego posiłku. Najmniej zjadł Janek, choć pracował najciężej z nich wszystkich. Sprawiał wrażenie umięśnionego, choć twarz miał równie bladą jak reszta służby.

Najbardziej uderzyło ją żałobne milczenie podczas jedzenia, jakby wszyscy bali się cokolwiek powiedzieć. Może obawiali się nowoprzybyłej? Może zwyczajnie nie wiedzieli, co powiedzieć, a może po prostu nie mieli na to siły?

Po skończonym posiłku, bez najmniejszego słowa, wszyscy wrócili do swoich obowiązków.

– Pani Karolino, czy...

– Ciiicho! Sza! – upomniała ją kobiecina, która sprzątała posiłek z największą delikatnością.

– Dlaczego? Dlaczego nikt nic nie mówił podczas posiłku? – wyszeptała Jadzia.

– Bo pan domu wymaga ciszy. Pracuje do późna, a rano długo śpi i znów wraca do pracy. To urzędnik państwowy, pracuje w Ratuszu. Pisz, notuje, układa przemowy dla zacnych osób... Ubiega się o stanowisko radnego w partii rządzącej miastem. Być może kiedyś zostanie nawet prezydentem miasta, tak jak jego świętej pamięci ojciec! Pani na to bardzo liczy – wytłumaczyła jej wyczerpująco, po czym zamilkła.

– To nowy mąż pani?

– Syn. Ma trzydzieści pięć lat i wciąż jest sam. Nie ma żony. Jego matka mu zakazała, żeby mógł się zająć tylko pracą.

– To bardzo duże poświęcenie – szepnęła z uznaniem.

– Tak. Zwłaszcza, że starym kawalerom z wiekiem coraz bardziej się przewraca w głowie – rzekła z tajemniczym uśmieszkiem.

– Och! Naprawdę? – Zaciekawiała ją ta dziwna postać.

– Tak, przekonasz się, jak go kiedyś zobaczysz. O ile uda ci się go kiedykolwiek zobaczyć...

– Ojej! Biedny. Musi być mu ciężko.

– Być może... ale nam jest ciężiej. Wszystko zrozumiesz.

To był dziwny dzień – pomyślała Jadwiga, gdy przechadzając się późną porą po zimowym ogrodzie pani Genowefy, przyglądała się gwiazdom migocącym na granatowej chuście nieba. Brakowało jedynie Księżyca. Zaciekawiona kształtem kamiennej fontanny, stojącej centralnie w podkowie willi, podeszła, aby przyrzeć się jej dokładniej. Jej szczyt przypominał bukiet kwiatów splecionych w jedną kompozycję. „Musi wyglądać bardzo pięknie, gdy letnią porą tryska z niej kaskadami woda, a dźwięk musi wyływać z niej śliczny niczym

melodia śpiewana przez dziki strumień. Dołem pewnie rosną wodne kwiaty...”

Dotknęła zimnej, chropowatej powierzchni kamienia, aby sprawdzić, czy jest sucha, po czym przysiadła na skraju pustego zbiorniczka.

W jednym z okien usytuowanych po środku budowli, na parterze zobaczyła postać siedzącą przy biurku, pochyloną nad pisanie czegoś bardzo absorbującego. Długie, jasne włosy zakrywały połowę jej twarzy, a kilkucentymetrowy, jasny zarost świadczył o tym, że był to mężczyzna. Był drobnej budowy, ale nie była w stanie stwierdzić, czy był stary czy młody, brzydki czy ładny. Odłożył pióro i przyjrzał się temu, co napisał, patrząc przez błyszczące od świateł, okrągłe szkła okularów. Wstał i zaczął przechadzać się po oświetlonym światłem elektrycznym pokoju. „Na wsi nie ma takich cudów... Mama musi szyć przy świeczce.” Westchnęła tęsknie. Przeniknął ją mroźny powiew wiatru. Wstała, po czym pośpiesznie poszła do swojej piwniczki.

